



WADA

*Kiedy
serce
przestaje
bić*

IZAMACIEJEWSKA



Magnolia

WADA

Kiedy serce przestaje bić

IZA MACIEJEWSKA



Magnolia

[Kup książkę](#)

*Wybaczenie i zrozumienie to fundament
szczęścia i radości.*

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Jakiegolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, zdarzeń i miejsc jest przypadkowe.

Prolog

Brakowało mu tchu.

Żadne słowo nie było w stanie przebić się przez jego struny głosowe. Miał coraz większy problem z oddychaniem. Kiedy chciał zaczerpnąć powietrza, czuł opór. Jakby na jego klatce piersiowej ktoś siedział albo leżał tam jakiś bardzo ciężki przedmiot. Nie potrafił nad tym zapanować. Miał wrażenie, że ktoś świeci mu w oczy światłami ze stroboskopu. Choć doskonale wiedział, że jego powieki są zamknięte, widział całą gamę jaskrawych kolorów. Tracił kontrolę nad swoim ciałem.

Było mu zimno, coraz zimniej.

Czuł również obecność wielu ludzi. Czuł, że chcą mu pomóc, chociaż miał bolesną świadomość, że on na tę pomoc wcale nie zasługuje. Gdyby oni wiedzieli. Gdyby tylko wiedzieli, co on zrobił...

– Wszystko będzie dobrze. Trzymaj się – usłyszał. Nie potrafił rozróżnić, czy słowa te wypłynęły z ust kobiety, czy może jednak mężczyzny.

Głos w jego umyśle szeptał, że już nic nie będzie dobrze. Już nigdy nie będzie dobrze.

Od dnia, gdy Piotr uczynił Julii Tę straszną rzecz, albo inaczej: od dnia, gdy z jego krwiobiegu zniknęły ostatnie ślady amfetaminy, a do niego dotarło, co zrobił, jego życie stało się pasmem jednej wielkiej udręki. Pił takie ilości alkoholu, że nie był w stanie ustać na nogach, a gdy patrzył w lustro, widział przebrzydłego tchórza, który w porywie zazdrości dopuścił się niegodnego czynu. Tłumaczył sobie, że to wszystko wina narkotyków. Że gdyby nie był naćpany, nie zrobiłby tego. Na pewno by tego nie zrobił. Poczucie winy przejęło nad nim pełną kontrolę. Karmiło się jego strachem i bezsilnością. Drwiło sobie z niego na każdym kroku, osądzając i wytykając go palcami. Szydziło i upewniało w przekonaniu, że jest nic niewartym śmieciem.

I tak się właśnie czuł.

Wielce prawdopodobne, że sam zgłosiłby się na policję, przyznając się do tego, co zrobił, gdyby nie to, że zwyczajnie bał się konsekwencji. I pewnie dlatego też ze strachem patrzył na każdy

przejeżdżający radiowóz, a na dźwięk przyśpieszonych kroków na klatce schodowej jego serce o mało nie wyskakiwało z piersi.

Czuł, że traci rozum. Czuł, że jeszcze moment i zwariuje. Czuł, że znajduje się u kresu swojej wytrzymałości.

Tego dnia wybrał się na przejażdżkę za miasto. Jechał, można powiedzieć, bez celu. Nie potrafił znaleźć sobie miejsca w domu, dlatego wsiadł na motocykl i pomknął przed siebie. W pewnym momencie zjechał na zatoczkę autobusową. Zdjął kask i rękawice i położył je na baku motocykla. Palce zacisnął na manetkach. Bardzo długo patrzył w jeden punkt, w lusterko. Twarz, którą tam zobaczył, była poszarzała, zmęczona, pozbawiona radości. To właśnie wtedy dotarło do niego, że już tak dłużej nie da rady. Że musi coś zrobić.

Założył ponownie rękawice i kask. Przekręcił kluczyk w stacyjce, wcisnął sprzęgło i nacisnął na przycisk rozrusznika. Ryk motocykla rozniósł się po okolicy. Piotr usłyszał szczekanie psów. Podkręcił gaz. Ujadanie się wzmoгло. Po chwili mknął przed siebie z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Wiedział, do kogo i po co chce jechać. Wiedział, że tylko przebaczenie, które może uzyskać od Julii, jest w stanie go uratować. Możliwe, że gdyby był bardziej skupiony na drodze, a nie na swoich myślach, zauważyłby jadącą z naprzeciwka ciężarówkę, która zjechała na przeciwny pas i pędziła prosto na niego.

Gdy się zorientował, było już jednak za późno.

– Tracimy go.

Ponownie usłyszał czyjś głos. Dobiegał z oddali. Mieszał się z dźwiękami i głosami innych ludzi. Było ich naprawdę wiele, każdy o innej barwie, innym napięciu. Każdy chciał przekazać coś innego, każdy chciał pomóc. Nagle cały ten hałas przycichł, a on pojął, że coś zaczyna się z nim dziać. Poczuł się tak, jakby coś go wessało i ciągnęło w górę z ogromną prędkością. Jakby jakaś niepojęta siła chciała wyrwać jego duszę z ciała. Próbował krzyczeć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Chciał się czegoś przytrzymać, ale nie wiedział, jak to zrobić. Nie miał już dłoni. Nie miał też nóg. Nie miał ciała, ale jednak istniał. Był tego dziwnie świadomy.

Nie poradziłem sobie. Zbłądziłem. Krzywdziłem. Byłem zły.
Zastygł w bezruchu. W paraliżu. W niepewności. W strachu.
W oczekiwaniu na wybaczenie, które mogło nigdy nie nadejść.

Rozdział 1

Siedem lat później.

– Jesteś najgorszym kotem na świecie! NAJ-GOR-SZYM! Jestem pewna, że żaden inny kot nie sieje takiego zniszczenia jak ty! Myślisz, że co? Że cały świat kręci się wokół nasady twojego ogona? I że wszystko ujdzie ci na sucho? Jeśli tak, to zapewniam cię: mylisz się!

Julia oparła dłonie na biodrach, besztając Iryską. Chwilę wcześniej ten czarny diabeł wskoczył na biurko i przewrócił kubek z gorącą kawą, przez co wszystkie papiery, które znajdowały się na blacie, zostały zalane. Były to bardzo ważne notatki, w których zapisywała pomysły na fabułę swojej najnowszej książki. Były to również jedyne notatki, z czego oczywiście kot nie zdawał sobie sprawy. Nie znaczy to jednak, że gdyby wiedział, jak ważne są te zapiski, zachowałby większą ostrożność. Nie ma co ukrywać, nie zrobiłby tego. A tak w ogóle, to Julia powinna je położyć gdzieś indziej, bo przecież nie od dziś wiadomo, że tam, gdzie jest możliwość potrącenia kubka z jakimkolwiek napojem, tam prędzej czy później pojawi się kot.

Tak sobie właśnie pomyślał Irysek, wyzbywając się jakiegokolwiek poczucia winy.

Jakby tego było mało, w kolejnym etapie rozpierduchy wskoczył z impetem na laptopa, co spowodowało, że ten spadł z biurka i z wielkim hukiem upadł na podłogę. Irysek sprawiał wrażenie skruszonego i w zasadzie na wrażeniu się skończyło, bo tylko żałośnie miauknął. Wątpliwe, aby zrobił to w ramach przeprosin. Potem pomaszerował w stronę salonu, machając przy tym ogonem na prawo i lewo. Następnie wskoczył na parapet, uniósł grzbiet, ziewnął, polizał się po łapce i zwinął w kłębek.

I tyle z jego skruchy.

– Za grosz przyzwoitości. Za grosz – burknęła Julia.

Zabrała się za sprząatanie pobojowiska, powtarzając sobie co chwilę, że chociaż dzień rozpoczął się kiepsko, to później będzie już tylko lepiej.

Było jeszcze gorzej, bo gdy wiozła syna do szkoły, dostała mandat.

- Proszę pani, nie widziała pani znaku zakazu? Tutaj nie można skręcać - powiedział policjant, a minę miał przy tym taką, jakby Julia przemyślała w bagażniku co najmniej dziesięć kilogramów kokainy.

- Moja mama codziennie tędy jeździ! - krzyknął z tylnego fotela Julian, jej sześciolatek syn.

- Codziennie? - Policjant schylił głowę i zapuścił żurawia do samochodu. - Jesteś tego pewien, młody człowieku?

Spojrzał na chłopca, a potem, gdy ten uśmiechnął się do niego i pokiwał głową na znak potwierdzenia, zerknął na jego bordową na twarzy mamę, która ewidentnie nie spodziewała się tego, że rodzony syn wykaże się takim brakiem instynktu samozachowawczego.

- Może ze dwa razy się zdarzyło. Może trzy. Zresztą, niech pan mu nie wierzy, on się nawet na zegarku jeszcze nie zna - bąknęła Julia, patrząc na syna zrezygnowanym wzrokiem.

Z pokorą przyjęła dwa punkty i trzysta złotych mandatu. A potem, gdy odstawiła dziecko do zerówki, pojechała do pobliskiego marketu. Zrobiła zakupy, wypłaciła pieniądze z bankomatu, potknęła się, mijając obrotowe drzwi, i wróciła do samochodu. Postawiła torby z zakupami na dachu auta i sięgnęła do torebki po kluczyki. Nie znalazła ich tam, ale to na pewno dlatego, że bawiły się z nią w chowanego. W ogóle wszystkie jej klucze, czy to od domu, czy też od samochodu, często to robiły. Kiedyś schowały się do lodówki, innym znowu razem do kosza z brudną bielizną. A jeszcze kiedyś, bardzo dawno temu, w kontenerze na śmieci.

Julka przetrząsnęła całą zawartość torby trzy, a może i cztery razy, a potem przeszukała po kolei wszystkie kieszenie. Poza starymi rachunkami, wyblakłymi naklejkami z Kinder niespodzianki i gumkami recepturkami nie było w nich nic godnego uwagi.

- Kluczyki! Gdzie są kluczyki od samochodu! O Boże! Znowu zgubiłam kluczyki! - lamentowała.

Zaczęła chodzić dookoła auta, żeby sprawdzić, czy czasem gdzieś ich nie upuściła, gdy wysiadała. Na przykład obok któregoś z kół. Gdy upewniła się, że nie, pobiegła do sklepu. Podeszła do ekspedientki, która kilka minut wcześniej ją obsługiwała.

– Prze... prze... przepraszam – była tak zziębnięta, że z ogromnym trudem łapała powietrze – czy... czy... moje kluczyki... zgubiłam... może pani... gdzieś je widziała...

– Proszę. – Kobieta podała jej zgubę. – Zostawiła je pani na półce, na której leżą torby. Klientka je znalazła. A tak w ogóle, to ma pani ogromne szczęście, że była uczciwa i nie odjechała pani autem – poinformowała ją kasjerka.

– Ale ze mnie gapa.

Julia podziękowała za pomoc i z dużo lżejszym sercem wróciła na parking. Zakupy, które stały na dachu samochodu, a o których zdążyła już zapomnieć, zniknęły.

To przecież mogło się zdarzyć każdemu. KAŻ-DE-MU!

Myśląc w taki sposób, okłamywała samą siebie, bo doskonale wiedziała, że takie rzeczy zdarzają się tylko jej. I może jeszcze ze trzem osobom na całym świecie. Do domu wróciła przy akompaniamencie odpowiednio dołującej muzyki. Od razu weszła pod prysznic, ponieważ chciała zmyć z siebie pecha. No bo przecież nawet on powinien mieć swoją datę ważności. Szorowała się do momentu, w którym przypomniała sobie, że przecież już dawno powinna być gotowa do wyjścia. Opatuliła się ręcznikiem i sięgnęła po suszarkę, ale okazało się, że ta jest niedysponowana.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – zapytała swojego lustrzanego odbicia, które tylko wzruszyło ramionami.

Była godzina jedenasta pięć, a ona najpóźniej o dwunastej miała zjawić się u Marka, który poprosił ją, żeby pomogła mu w pakowaniu dokumentów. Zmieniał lokalizację swojego gabinetu. Spóźnienie nie wchodziło w grę, gdyż o godzinie czternastej była umówiona ze swoją wydawczynią, która specjalnie przyjeżdżała z Warszawy, żeby się z nią zobaczyć. Pani Zofia Maj chciała jej powiedzieć coś, co wymagało rozmowy w cztery oczy.

Julia stanęła na środku łazienki i tarła mokre włosy ręcznikiem. Był co prawda początek maja, ale akurat dzisiaj pogoda nie rozpieszczała na tyle, żeby mogła wyjść na zewnątrz, wystawić się do słońca i poczekać, aż jej włosy wyschną dzięki podmuchom ciepłego wiatru. Spojrzała na sufit i nagle ją olśniło. Gdy biegła

korytarzem z łazienki do sypialni, usłyszała, jak na dole otwierają się drzwi.

– To ja. – Do jej uszu dobiegł głos Weroniki Malinowskiej, sąsiadki z kamienicy, w której Julia kiedyś mieszkała.

Od momentu przeprowadzki Julii do Marka Weronika przyjeżdżała do nich przynajmniej dwa razy w tygodniu. Miała swoje klucze i tak naprawdę była kimś więcej niż tylko starą znajomą. Była członkiem rodziny.

– Jestem na górze! – odkrzyknęła Julia.

Gdy Weronika weszła na piętro, a potem skierowała swoje kroki do garderoby i zobaczyła to, co zobaczyła, stanęła jak wryta. Kiedy klęcząca na środku pomieszczenia Julia zorientowała się, że kobieta stoi w drzwiach, uśmiechnęła się szeroko, nie przerywając swojego zajęcia. Dopiero gdy Malinowska przez dobre dwie minuty nie odezwała się nawet słowem, chociaż jej zaplecione na piersiach ręce wskazywały na to, że chętnie się dowie, co się tutaj nawyprawiało, Julia powiedziała:

– Dzień dobry.

– Co ty robisz?

– Suszę włosy.

– Ale dlaczego odkurzaczem?

– Bo mi się suszarka popsuka.

Weronika przez chwilę patrzyła na Julię, zastanawiając się nad tym, czy ta dziewczyna jest w stanie ją jeszcze czymś zaskoczyć.

Odpowiedź brzmiała: TAK! Zawsze TAK!

Nie pozostało zatem nic innego, jak westchnąć, pokiwać głową i zejść do kuchni, żeby przygotować kawę.

– I jak? – zapytała Julia, która pół godziny później była gotowa do wyjścia. – Nieźle jak na odkurzacz, prawda? Przyznam, że na początku myślałam, że wyrwie mi połowę włosów, ale jak potem doszłam do tego, że trzeba przełączyć z trybu, który zasysa, na dmuchawę, to poszło jak z płatka. Oplacało się kupić wielofunkcyjny odkurzacz.

Weronika postanowiła nie komentować tego, że na włosach Julii znajduje się mnóstwo kurzu i są potężnie napuszone. Cóż, skoro dziewczyna tego nie zauważyła, to pewnie jej się to tylko wydawało.

Chwilę porozmawiały, Julia kichnęła ze trzy razy, a potem wzięła torbę i kluczyki i ruszyła w stronę drzwi. Nim wyszła, zatrzymała się i powiedziała:

- Pamiętasz, że Julek ma zostać dziś u ciebie na noc?
- Pamiętam. Odbiorę go ze szkoły i pójdziemy do kina.
- Jesteś najlepszą babcią na świecie.

Gdy Julia wyszła, Weronika podreptała w kierunku lodówki i szafek i zaczęła wyjmować z nich wszystko, co potrzebne było do upieczenia szarlotki. Niedługo potem kuchnia wypełniła się cudownym, jabłkowo-cynamonowym zapachem domowego ciasta. I miłości.

Od chwili, kiedy na świecie pojawił się Julian, jej życie nabrało nowych barw. Jednak w najśmielszych snach nie spodziewała się, że zostanie przyszywaną babcią tego rozkosznego chłopca. Taką pełnoetatową, którą prosi się o pomoc w opiece nad dzieckiem i którą zaprasza się na szkolne przedstawienia. Od tego momentu w jej żyłach nie płynęła już tylko krew, ale i duma.

Nim odebrała małego ze szkoły, zajrzała na cmentarz. Jako że było dość chłodno, miała na sobie swoje ulubione w tym miesiącu różowe ponczo i brązowe spodnie w lamparcie cętki. Na głowę naciągnęła bordowy beret z antenką, pod szyją zawiązała żółto-fioletową chustę, w dłoni natomiast dzierżyła torbę, którą dostała na Dzień Babci. Był na niej rysunek przedstawiający uśmiechniętego Irysa i Weronikę, która bardziej przypominała truskawkę niż dwunożną istotę.

Weronika Malinowska zdecydowanie miała swój unikatowy styl.

Teraz, kiedy siedziała na ławce i patrzyła na grób, co jakiś czas wzdychała i prowadziła monolog z duchem.

- Aj, Zenuś, mogłeś jeszcze trochę pożyć. Miałbyś pociechę z tego chłopczyka na stare lata. Z nich wszystkich miałbyś pociechę. Z Juleczki i z Mareczka też. Co ci się tak śpieszyło na tamten świat, co? - Ilekroć przychodziła na cmentarz, zawsze go o to pytała.

A potem opowiadała mu, co ciekawego wydarzyło się od jej ostatniej wizyty. Posiedziała jeszcze chwilę. Powspominała. Ponarzekła. Pomarudziła. A kiedy zegarek wskazał za kwadrans

czternastą, wstała z ławki i ruszyła w kierunku przystanku autobusowego.

Rozdział 2

Kiedy Julia jechała do gabinetu Marka, żeby pomóc mu z pakowaniem dokumentów do kartonów i ogólnym porządkowaniem biura przed oddaniem kluczy, jakoś tak się złożyło, że zaczęła myśleć o tym, że chociaż jej mąż uczył ją grzecznego stawiania na swoim i bycia asertywną, ona w dalszym ciągu ma ogromny problem z odmawianiem. Czy to dwóch złotych w zamian za popilnowanie auta, czy to częstowania upierdliwie łaszącego się do jej nogi Irysa nadprogramowym jedzeniem, czy też, jak chociażby w zeszłym tygodniu, upieczenia ciasta na imprezę w zerówce.

Dość istotne było to, że o cieście dowiedziała się o godzinie szóstej rano w dniu, w którym jej syn miał je przynieść.

– Mamo! Mamo! – usłyszała krzyk swojego dziecka, dobiegający z jego pokoju. – Potrzebuję cię!

Zjawiła się błyskawicznie. Pewnie gdyby nie potknęła się o jeden z samochodzików, który leżał na korytarzu, dotarłaby jeszcze szybciej.

– Co się stało? Miałeś zły sen? – Przysiadła na skraju łóżka i zaczęła głaskać syna po jasnej czuprynie. – Boli cię coś?

Rzadko kiedy zdarzało się, żeby Julek wstał tak wcześnie. Zazwyczaj trzeba było siłą ściągać go z łóżka. Oczywiście tylko w tygodniu, gdy trzeba było iść do szkoły, bo w weekendy sprawy miały się zgoła inaczej.

– Bo ja zapomniałem, że pani powiedziała, że mama Antka kazała ci powiedzieć, że na dziś potrzebne jest ciasto do szkoły. I mama Antka powiedziała, że to ty MASZ je upiec. – Julian bardzo mocno zaakcentował słowo „masz”. – Mama Antka powiedziała, że ty i tak cały czas siedzisz w domu i się nudzisz, więc możesz. Upieczesz? Zrobisz serniczek? Proooszę.

– Jest godzina szósta rano. O jakim ty cieście do mnie mówisz?

Nie dało się ukryć, że była nieco zaskoczona. Ale tylko nieco, bo zdążyła już przerobić kilka podobnych akcji. Jak dotąd nic nie przebiło tego, kiedy zawiozła syna do zerówki, a on dostał nagłego

olśnienia i powiedział, że przecież dziś jest bal przebierańców i miał przyjść w stroju krasnoludka.

Julia miała wyobraźnię. Najpierw wyobraziła sobie, że wkłada go do okna życia, ale szybko go stamtąd wyjęła i zabrała do domu, gdzie ze swoich ubrań wyczarowała naprawdę uroczy strój krasnala. Na pytanie o to, jakie ma supermoce, mogłaby odpowiedzieć, że jest mamą pewnego roztargnionego chłopca, który uwielbia ją zaskakiwać. Zeszłej jesieni postanowiła być również nieco profilaktyczna i zawczasu nazbierać kasztanów, bo znając życie, o tym, że są potrzebne, syn poinformowałby ją w środku nocy.

– Bo wszyscy coś przyniosą. A ja mam przynieść ciasto. Tak powiedziała mama Antka – przypomniał jej Julian. – I kazała ci przekazać, że nie pojmuję odmowy.

– Mówi się „nie przyjmuje” – westchnęła. – A co przyniesie Antek?

– Kubeczki i talerzyki. A Janek pączki. A Kacper nic, bo jest chory i go nie będzie. A Stasiek to mnie wczoraj kopnął. A ja mu oddałem.

Julia na końcu języka miała odpowiedź, żeby mama Antka nie była taka mądra i sama sobie to ciasto upiekła. Najwidoczniej jednak wcześniej wspomniana rodzicielka, która osobiście mianowała się przedstawicielką klasy, uznała, że skoro Julia piekła już ciasto kilka razy, to może zrobić to po raz kolejny. Bo jak to się wyraziła? I tak siedzi w domu i się nudzi. Wszak jak ktoś pracuje w zaciszu swoich czterech ścian, to ma w międzyczasie również mnóstwo czasu na gotowanie, pranie, sprząatanie, mordowanie irytujących ludzi, prasowanie, nудę i oczywiście na pieczenie ciast. Przypomniała sobie też, jak mama Antka podpytywała ją kiedyś, gdzie pracuje. Julia powiedziała jej, że ma to szczęście, że w domu. Nie wyczuła wtedy złych intencji tej kobiety.

A powinna.

Czy miała ochotę kopnąć ją w zadek? Oj, tak, szaloną!

– Upiekę ci to ciasto – powiedziała do syna.

– Jesteś najlepszą mamą na całym świecie! NAJ-LEP-SZA! – wykrzyknął Julian, obejmując ją.

Julia wyszła z pokoju syna nieco ułagodzona. Zeszła do kuchni i zrobiła rekonesans. Niestety nie było za bardzo z czego zrobić

sernika, dlatego podreptała na górę, do sypialni, wgramoliła się na łóżko i zaczęła szturchać śpiącego Marka.

– Śpisz?

– Śpię.

– Czyli jednak nie śpisz.

– Już dawno ustaliliśmy z naszym synem, że póki mama i tata mają zamknięte oczy, to śpią.

Marek leżał na brzuchu, przykryty do połowy kołdrą. Jego szerokie ramiona wręcz prosiły o to, żeby się do nich przytulić. W głowie Julii roilo się od nieprzyzwoitych myśli. W jej odczuciu Marek był jak wino. Jak najlepsze na świecie czterdziestosiedmioletnie wino. I chociaż miała świadomość, że porównanie to jest bardzo sztampowe, to w top trzech rzeczy, które podniecały ją u niego najbardziej, znalazła się również ta piętnastoletnia różnica wieku, która ich dzieliła.

Odsunęła kołdrę i wodziła wzrokiem po jego pośladkach. Westchnęła, myśląc o tym, że byłoby przyjemnie, gdyby odwrócił się na plecy.

Julia! Teraz masz matczyne obowiązki i jedyne jajka, jakich dotkniesz, to te z wytłoczek! – upomniała się w myślach.

– Pamiętasz ten moment, kiedy szlachetnie oddałam ci swoje serce i powiedziałam, że nie oczekuję w zamian żadnych zobowiązań? – zaszczebiotała radośnie.

– Niech zgadnę: są zobowiązania? – padło w mrukliwej odpowiedzi.

– Pojedziesz do sklepu? Muszę upiec młodemu ciasto.

– Na kiedy?

– Na za trzy godziny.

Marek przeciągnął się, a potem przekręcił głowę w jej stronę. Przez chwilę na siebie patrzyli. Ona się uśmiechała, on wyglądał tak jak zawsze, czyli jego usta tworzyły linię prostą w taki sposób, że wyglądał na człowieka, który nie jest za bardzo zadowolony z życia. Nozdrza na zmianę to się unosiły, to opadały, natomiast powieki nawet nie drgnęły.

Julia patrzyła na niego swoimi dwukolorowymi oczyma.

– To co? Pojedziesz? Odwdzięczę się wieczorem.

Nachyliła się, żeby go pocałować. Złapał ją za włosy, mocno ścisnął i przyciągnął do siebie. Językiem powiódł po szyi. Jego dłoń wsunęła się pod jej koszulkę, choć tak naprawdę to była jego koszulka, którą ona sobie zaanektowała. Ścisnął ją za pierś i zaczął wodzić kciukiem po sutku. Przestał dopiero wtedy, gdy ten zaczął sterczeć.

– Z każdym dniem kocham cię coraz mocniej – wyszeptał do jej ucha.

– Mogłabym się z tobą teraz pokłócić i powiedzieć, że to ja kocham bardziej, ale obawiam się, że brakłoby mi czasu na przekonywanie cię do mojej racji.

Marek pogłaskał Julię po policzku, a potem wstał, co sprawiło, że jęknęła, widząc jego nagie ciało. On z kolei wydobył z siebie dźwięk, który dla osoby postronnej mógł wydawać się prychnięciem wynikającym z niezadowolenia. Lub czymś podobnym. Jednak Julia doskonale wiedziała, że jest inaczej i że tak naprawdę jej mąż właśnie się zaśmiał.

Po swojemu.

– Piękna pani poczeka! Piękna pani poczeka!

Tuż przed Julią, ni stąd, ni zowąd, wyrosła postawna Cyganka.

– Piękna pani nie ma czasu – odpowiedziała, stukając palcem w tarczę swojego zegarka. – Piękna pani jest już spóźniona.

Próbowała zrobić unik.

– To tylko minutka. Dwadzieścia złotych i minutka. Powrózę, przyszłość przepowiem.

Kobieta zastąpiła jej drogę i raczej nic nie wskazywało na to, żeby miała zamiar ruszyć się z miejsca, tym samym Julia nie mogła wejść do kamienicy, w której znajdował się gabinet Marka.

Julia westchnęła, przekręciła głowę i nabrała w płuca powietrza, aby wypuścić je wraz z kolejnym, pełnym rezygnacji westchnięciem. Zaczęła się też zastanawiać nad tym, czy te myśli o nieumiejętnym odmawianiu, co to pojawiły się w jej głowie kilka minut temu, to była jakaś przestroga przed tą sytuacją czy zwykły przypadek? Gdy patrzyła na Cygankę, która zatarasowała swoim ciałem wejście do kamienicy, zastanawiała się, czy czasem w chwili

narodzin nie została przeklęta i stąd ten pech. Nie dane było jej jednak zbyt długo o tym dumać.

– Powróżę. Przyszłość przepowiem. Pani o pięknych oczach da dwadzieścia złotych – zachęcała Cyganka głosem słodkim niczym miód.

– Nie mam dwudziestu złotych – powiedziała Julia i próbowała wyminąć kobietę.

– To dziesięć. – Cyganka zrobiła krok w bok i ponownie zastawiła wejście.

– Też nie mam.

– Masz, masz. Ja to wiem. No daj. – Kobieta czarowała ją głosem i wyciągnęła w jej stronę dłoń.

Julia pokręciła z rezygnacją głową i machnęła ręką, a potem, kiedy Cyganka w dalszym ciągu blokowała przejście, wyjęła z portfela dziesięciozłotowy banknot i podała tej upierdliwej kobiecie.

– Wróż. Tylko szybko, bo się śpieszę.

– Nie ma co się śpieszyć. Życie nie ucieknie – zaśmiała się Cyganka.

Miała czarne jak smoła włosy, gdzieniegdzie poprządkane siwymi pasmami. Zaplotła je w gruby warkocz. Jej oczy były brązowe i bardzo przenikliwe. Policzki rumiane, uśmiech trochę psotny, a trochę szyderczy. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat. Julii rzucił się w oczy ogromny wisior, który spoczywał na jej piersiach. Była to złota sowa siedząca na czerwonym kamieniu. Kobieta miała na sobie czarną spódnicę do ziemi, fioletową koszulę z żabotem i ciemną skórzaną kurtkę.

– Pani, podaj mi rękę – wydała polecenie.

Zrezygnowana Julia wyciągnęła w jej stronę dłoń. Miała świadomość, że właśnie daje się wkręcić w najstarszy numer na świecie. Miała też świadomość, że mijający ją ludzie się z niej śmieją i zapewne w myślach nazywają frajerką.

Taka już jestem naiwna, pomyślała zawstydzona swoją głupotą.

– No i co tam widzisz? Że jestem spóźniona? – westchnęła ostentacyjnie, co miało pokazać, że naprawdę bardzo, ale to bardzo się jej śpieszy.

– Widzę...

Kobieta lekko przekręciła dłoń Julii, a potem zamilkła i ściągnęła brwi. Przyglądała się dłoni z dziwnym wyrazem twarzy. Trochę milczała, a trochę mruczała pod nosem. Było to kompletnie niezrozumiałe mruczenie, w jakimś obcym języku, co sprawiło, że Julia poczuła się nieswojo. Cyganka przeniosła wzrok na nią. Dość długo studiowała jej twarz. W końcu powiedziała:

– Śmierć. Widzę śmierć.

– Słucham?

– Widzę śmierć, która daje życie.

Julia spodziewała się raczej tego, że usłyszy coś w stylu „kochasz blondyna, ale wyjdiesz za bruneta”.

– Wie pani co...

Chciała wyszarpnąć rękę, ale tamta jej na to nie pozwoliła.

– Pani o pięknych oczach, posłuchaj ty mnie, bo to bardzo ważne. – Kobieta zniżyła głos do szeptu, jakby to, co chciała właśnie powiedzieć, było jakąś wielką tajemnicą. Bardzo mocno ścisnęła przy tym dłoń Julii w swojej. – Tobie może się wydawać, że ja kłamstwa opowiadam, głupoty, bajki jakieś, bo ja jestem Cyganka i źle się o nas mówi. Ale ja prawdę gadam. Krzywda cię w życiu wielka spotkała, a zarazem szczęście. I to szczęście chce się teraz wymknąć. Ktoś otworzył mu drzwi i na nie czeka. I może to twoje szczęście się wymknie, a może się nie wymknie. Wszystko zależy od niej. Od śmierci. I żebyś ty, moja pani, była zadowolona, to inni muszą cierpieć. Nie inaczej. Nie inaczej...

– Ja... ja muszę już iść.

Julia wyszarpnęła dłoń z uścisku i przycisnęła do piersi torbę, jakby w taki sposób mogła ochronić się przed słowami tej dziwnej kobiety. O dziwo, tym razem Cyganka nie zastąpiła jej drogi, jedynie świdrowała ją swoim natarczywym spojrzeniem. Julia wyminęła ją i weszła do budynku, jednak nieprzyjemne uczucie, które się w niej rozgościło, nie mogło jej opuścić.

– Cześć, Julka. Jak mija dzień?

Siedząca za kontuarem w recepcji Dorota uśmiechnęła się do niej serdecznie. Pracowała tutaj od czterech lat. Jej poprzedniczka, Sylwia, delikatnie mówiąc, nie przepadała za Markiem, a wynikało to z tego, że tak jak i większość ludzi oceniała go na podstawie

wyglądu. Marek z kolei nie czuł się w obowiązku tłumaczenia każdemu, kogo spotkał na swojej drodze, że nie jest niewychowanym gburem, jedynie – albo i aż – boryka się z syndromem Moebiusa. W jego przypadku wada ta objawiała się tym, że bez względu na emocje, jakie nim targały, jego twarz zawsze wyglądała tak samo.

Jak kamienna maska.

Wątpił, aby ktoś taki jak wiecznie zapatrzona w ekran swojego telefonu Sylwia zrozumiał ten problem. Ku radości Julii recepcjonistka cztery lata temu złożyła wypowiedzenie. Twierdziła, że poznała arabskiego szejka i wyjeżdża z nim do Dubaju, gdzie zostanie księżniczką. Nikt po niej nie płakał, a na jej miejscu pojawiła się przesympatyczna Dorota.

– Dzień dobry – odpowiedziała Julia. – Dostałam dziś mandat, ktoś ukradł mi zakupy, a przed wejściem do budynku zaczepiła mnie Cyganka i takich głupot mi nagadała, że głowa mała. – Machnęła dłonią w lekceważącym geście i nawet się zaśmiała.

Tyle tylko, że jej wyluzowana mowa ciała nie współgrała z narastającym w niej coraz większym niepokojem. To tylko takie głupie gadanie. Zapomnij o tym, próbowała przekonać sama siebie. To na pewno nic nie znaczy, a ona chciała wyciągnąć od ciebie pieniądze i cię przestraszyć, co – trzeba przyznać – jej się udało.

– A co ci powiedziała ta Cyganka? – zainteresowała się Dorota. – Bo mi kiedyś taka jedna cygańska wróżka powiedziała, że spotka mnie w życiu ogromne szczęście. No i jakiś tydzień później mój mąż powiedział, że odchodzi do innej kobiety. Z perspektywy czasu muszę przyznać, że nic lepszego nie mogło mnie w życiu spotkać. Chociaż oczywiście wtedy wpadłam w czarną rozpacz.

– Ja już nawet nie pamiętam, co ona mówiła, czyli to naprawdę było mało istotne. Bardzo cię przepraszam, Dorota, ale muszę pędzić do męża. Jestem już spóźniona.

Wbiegła po schodach na górę. Gabinet Marka znajdował się na pierwszym piętrze. Julia doskonale pamiętała dzień, kiedy weszła tutaj po raz pierwszy. Przyszła na rozmowę kwalifikacyjną. Marek poszukiwał asystentki, a ona potrzebowała pracy. Można powiedzieć, że wszystko świetnie się składało. Jednak nim dostała

tę posadę, musiała się z nim pokłócić, zgubić klucze od mieszkania w kontenerze na śmieci, wysłać Markowi swoje kompromitujące zdjęcie i jeszcze stracić przytomność, efektem czego zobaczył ją bez ubrania. Jak to się jednak mówi, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo nie dość, że dostała tę posadę, to związała się z Markiem. Od tamtego czasu minęło ponad siedem lat, a oni wiedli naprawdę szczęśliwe życie.

Bywały jednak takie dni, że kiedy Julia patrzyła na swojego synka, który nie był biologicznym dzieckiem Marka, miała bolesną świadomość tego, w jaki sposób chłopiec został poczęty. Marek z kolei doskonale wyczuwał emocje, które w niej buzowały. Był nad wyraz empatyczny, a jego ciało wręcz przesiąkało uczuciami ludzi, z którymi miał na co dzień do czynienia. Odczuwał stany psychiczne swoich pacjentów, potrafił przejąć ich sposób myślenia, a także patrzeć na świat z ich perspektywy. Ta wyjątkowa i raczej mało spotykana cecha była mu pomocna w pracy zawodowej. Jednak w przypadku kobiety, którą kochał, a której dusza tak bardzo cierpiała, było to dla niego niesłychanie trudne i bolesne doświadczenie.

– A jeśli ja nie będę dla niego dobrą mamą? A jeśli go zawiodę? A jeśli ta sytuacja zaważy na mojej miłości do niego? – pytała Julia.

Było to w dniu, w którym ona i dziecko wyszli ze szpitala. I chociaż pokochała tę małą istotę od samego początku, to uciążliwe myśli, które co rusz pojawiały się w jej głowie, przypominając o bolesnych doświadczeniach, strasznie ją deprymowały.

Marek zamknął ją w bezpiecznym uścisku i wyszeptał do ucha:

– Jesteś cudowna. Jesteś moją radością. Przecież widzę, że jesteś w nim zakochana.

– Ale jeśli nie będę w stanie go akceptować?

– Wdychaj światło. Wydychaj mrok.

Julia wtuliła się wtedy w niego mocno, obiecując sobie, że koniec z rozmowami o przeszłości. I tak faktycznie było. Nie podejmowała tego tematu. Tylko że jeśli o czymś się nie mówi, to nie znaczy, że tego już nie ma. I chociaż uparcie twierdziła, że zamknęła ten rozdział swojego życia, to Marek miał świadomość, że jest inaczej.

Czuł to całym sobą. Jako specjalista w dziedzinie psychoterapii doskonale wiedział, że nie można uciec przed problemami. Nie mógł jednak zmusić jej do zmierzenia się z demonami, dlatego cierpliwie czekał, aż któregoś dnia ona sama zrozumie, że jedyne co może jej pomóc, to prawdziwe wybaczenie.

Gdy Julia weszła do gabinetu, Marek kończył właśnie pakować teczki z dokumentami do pudeł.

– Dziś spotkało mnie tyle dziwnych rzeczy, że jedyne, o czym marzę, to napuścić wody do wanny – powiedziała na wstępie.

– I się utopić? – zapytał ją.

– Nie. Zaprosić cię do wspólnej kąpieli i się z tobą kochać.

– I nie zapomnieć przy okazji o tym, żeby zamknąć się od środka, mając w pamięci to, że jesteśmy rodzicami nad wyraz ciekawskiego sześciolatka.

– Tak się składa, że nasz sześciolatek nocuje dziś u babci Weroniki. – Julia posłała Markowi zalotne spojrzenie. – Co? Nie wspomniałam ci o tym wcześniej? Cóż, niespodzianka.

Marek się wyprostował, a potem spojrzał na biurko. I na Julię. I znowu na biurko. On również miał dla niej niespodziankę.

– Tak sobie pomyślałem, że skoro ostatni raz jesteśmy w tym gabinecie, moglibyśmy to uczcić. I skoro zdążyłem uporać się z tym wszystkim...

Sugestywnie omiótł ręką pudła, które piętrzyły się wokół biurka.

– Jak to uporałeś się z tym wszystkim? Przecież prosiłeś mnie, żebym przyszła i ci pomogła.

– Chciałem cię tu romantycznie zwabić.

Przysiadł na kancie biurka i zaczął rozpinąć guziki swojej koszuli.

– Czyli nie musiałam suszyć sobie głowy odkurzaczem?

– Czego nie musiałaś robić?

Dłoń Marka raptownie się zatrzymała.

– Nieważne. – Julia zaplotła ręce na piersiach. – Za ten podstęp masz szlaban na bzykanie! I żeby nie było żadnych wątpliwości, prędko go nie podniosę!

– Sam go sobie otworzę. – Jego zręczne dłonie odpięły już wszystkie guziki koszuli, a teraz zabrały się za rozpinanie paska od

spodni. – Zamknij drzwi i przekręć klucz. I podejdź do mnie.

– A jeśli tego nie zrobię, to co? – spytała, udając obrażoną.

– To ja podejdę do ciebie.

Spotkali się w połowie drogi.